

Wychowałem się na farmie. Wiem, że w Polsce nie ma farm, jedynie gospodarstwa rolne, ale myśmly właśnie tak nazywali naszą posiadłość. Większość sąsiadów miała ziemię podzieloną na małe części, często znacznie od siebie oddalone. Nasza była w jednym kawałku. To zasługa prapradziadka, który wykupił działkę z rozparcelowanego majątku i zastrzegł w testamencie, że nie wolno jej dzielić na mniejsze części. Ma dziedziczyć tylko jeden syn. Innym należy się spłata. Podobna zasada obowiązywała mojego ojca, kiedy dostał ziemię po dziadku. Często oglądaliśmy amerykańskie filmy i cieszyło nas, że tam farmy wyglądają podobnie, są tylko trochę większe. Pozornie to skomplikowane, ale zdawało egzamin przez trzy pokolenia, więc po co zmieniać reguły? Dowiedziałem się, że po śmierci ojca też wszystko będzie moje i to napawało optymizmem.

Nie jestem pewien, czy wszystko dokładnie pamiętam. Tak mi się przynajmniej wydaje, że początki były trudne. Z czasem fakty zacierają się, rozmywają i nikną, ewoluując w anegdotę. Tyle zostało z magii owego dnia, kiedy w Wigilię od samego rana zaczął padać śnieg. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale pod wieczór usłyszeliśmy grzmot i zaczęła się najnormalniejsza w świecie burza, tyle że grudniowa, śnieżna. A zaraz potem zgasło światło. To napędziło wszystkim stracha. Ojciec wziął nas na kolana i opowiedział historię jabłonek rosnących przed domem. Wszyscy ją znali, bo drzewa posadził dziadek. Po kolacji poszedł się dzielić opłatkiem ze zwierzętami. Nie było go tylko chwilę i zaraz wpadł

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

do kuchni z okrzykiem, że maciora się prosi. Tego było za wiele. Wigilia, burza, awaria prądu, a teraz maciora się prosi, choć termin wypadła po Nowym Roku. Matka położyła nas spać i wyszła pomóc w chlewie.

Następnego dnia z rana, nie pytając nikogo o pozwolenie, pogналиśmy zobaczyć prosiaki. Czekaliśmy nas niespodzianka. Był tylko jeden i to lichy. A gdzie cała reszta? Ojciec podszedł smutny i wyjaśnił, że pozostałe urodziły się martwe, a tylko ten ożył i jakoś zipie, ale i jemu nie dawał nadziei. Maciora chora na czerwonkę. Jeszcze wczoraj, mimo Wigilii, ściągnął weterynarza. Diagnoza była następująca: Dlatego oprosiła się wcześniej, a małe były martwe, że zachorowały jeszcze w brzuchu. Tylko jedno żyje, ale i to raczej kwestia czasu. Na to Monika, moja młodsza siostra, w krzyk. Nie odda prosiaczka, weźmie do domu i będzie karmić smoczkiem jak lalki z butelki. Na pewno przeżyje. Tak jak obiecała, przyniosła go do domu i karmiła kilka razy dziennie. Jakoś się wykaraskał. Biegał po całym domu, brudził i wszędzie wsadzał świński nos. Z tego powodu przezwaliliśmy go Dziobkiem. Łaził za nami i zawsze miał ochotę na drapanie za uchem. Od wiosny zostawał w chlewie tylko na noc. Kiedy rano otwieraliśmy drzwi, podbiegał do domu. Pilnował go o wiele lepiej od wszystkich psów, które do tej pory mieliśmy. Kiedy podrosł, okazało się, że nie jest chłopcem i w przyszłości będzie miał małe. Po jakimś czasie ojciec zawołał inseminatora. Dziobek poradził sobie wyśmienicie. Wyznaczono jej termin na jesień.

Kiedy wyznaczona data zaczęła się zbliżać, świniak osiągnął rozmiary betoniarki. Jak sobie z tym wszystkim poradzi? Monika zapewniała, że doskonale. No i stało się. Kolejnej nocy Dziobek wygrzmociła trzynaście prosiaków! Tyle nie udało się nikomu wcześniej. Pojawił się także gotowy plan, co z tym skarbem zrobić.

Ojciec oznajmił, że jak podrosną, sprzedamy wszystkie na rynku, a za kasę kupimy wreszcie nowy samochód. Takiej wiadomości nikt nie mógł przywitać obojętnie. Wszyscy czekali z niecierpliwością. W niedzielę razem z matką pojechali na giełdę. Nas odprowadzili na te parę godzin do sąsiadki. Tego dnia przekonałem się, że liczba trzydzieści nie należy do szczęśliwych. Ojciec kupił na giełdzie zastawę. Wracając, tak bardzo się cieszył z nowego samochodu, że nie zauważył leżącego na szosie buraka cukrowego. Wpadł w poślizg, a potem wpakowali się pod przyczepę tira. Rodzicom po prostu odcięto głowy.

Trudno opisać zamieszanie, które powstało po wypadku. U sąsiadki czekaliśmy już dosyć długo, a przecież giełda nie była daleko. Po kilku godzinach pod dom podjechał samochód, tyle że milicyjny. Sąsiadka pobiegła się dowiedzieć, czego szukają mundurowi. Nie pamiętam, kto powiedział, że rodzice nie żyją. Po prostu umarli. Przyjęliśmy wiadomość bez zbędnych ceregieli. Nikt nas nie chciał trzymać w domu. Mieliśmy spać u ciotki Tereski. Mieszkała po drugiej stronie wsi. Wieczorem wszystko do nas dotarło. Monika oszalała. Zaczęła się drzeć, wyć i zielenieć od tego. Moje reakcje były zupełnie odwrotne. Miałem krzyk w sobie. Po kwadransie zadzwonili po lekarza. Dostaliśmy po tabletkę i to Monice pomogło. Uspokoїła się i położyła spać.

Kilka dni poprzedzających pogrzeb właśnie tak wyglądało. Pobudka, tabletkę, śniadanie i nic. Totalna apatia. Potem wypłynęły twarze z przeszłości — wujkowie, ciotki, stryjenki. Ludzie w większości widziani przeze mnie po raz pierwszy w życiu. Żukiem przywieźli dwie trumny. Na rodzinnej naradzie postanowiono, że rodziców nie położą w kaplicy przy kościele. W ostatnią drogę wyjdą z rodzinnego domu. Trumny szczelnie zamknięte. Przecież tych głów nie odcięto tak ładnie, równo, jak można nożem. Były

zmiążdżone. Odwaliło je od tułowia razem z dachem samochodu i całą resztą. Różni ludzie — rodzina i sąsiedzi — przychodzili oddać zmarłym szacunek. Siedziałem grzecznie na krześle i do dzisiaj mam to podłe uczucie, że się wcale z nimi nie pożegnałem. Śnię, że pojechali po ten pierdolony samochód i zaraz wrócą, tacy sami, młodzi, jak wtedy, a zaraz potem budzę się rozdygotany. Następnego dnia był pogrzeb. Raz, dwa, trumny do piachu, zakopali i po sprawie.

Po tym znowu zebranie rodzinne. Musieli coś z nami zrobić. Dwie sieroty i gospodarstwo rolne w dodatku. Nic z tego wszystkiego nie pamiętam. Cały czas dostawałem pigułki. Rzeczywistość stała się umowna i tak było przez kilka tygodni. Niczego nie pamiętam.

## 2

Obudziłem się kilka tygodni później w mieszkaniu na łódzkim osiedlu. Decyzja podjęta przez rodzinę po śmierci rodziców miała nam zapewnić lepsze życie, start w dorosłość i doświadczenie na przyszłość. Największym problemem było to, że nas rozłączyli. Ciotki doszły do wniosku, że najlepiej będzie nas rozdzielić. Wtedy jedno większe nieszczęście rozmieni się na dwa mniejsze i jakoś to będzie. Jakoś to było. Na farmę wprowadziła się ciotka Tereska. Była młoda, miała młodego męża i z nieba spadł jej taki kąsek jak nasz dom i cała reszta. Oczywiście do osiągnięcia przez dzieci pełnoletności. Ja niestety nie miałem najlepszej opinii i to oznaczało kłopoty. Jak się dziecko nie chce uczyć, wagaruje i tylko wariactwa mu w głowie, to tak właśnie kończy. Nie najlepiej.

Ciocia Ela była najstarszą siostrą mojej matki. Właściwie to ona ją wychowała. Kiedy babcia urodziła mamę, musiała szybko wrócić do pracy w gospodarstwie i dzieckiem zajmowała się najstarsza córka — Ela. Dzieliło je osiemnaście lat, a łączyło uczucie, jakiego doświadczają jedynie kobiety. Rozumiały się bez słów. Mąż Eli — Sławek — jako jeden z niewielu w rodzinie od zawsze miał samochód. Nieważne, że tylko trabanta, ale jeździł nim po całej Polsce. Był mechanikiem w fabryce firanek. Nieźle mu płacili. Dużo dorabiał na boku. Naprawiał ludziom maszyny do szycia, a w gruncie rzeczy pełno kasy ciągnął ze sprzedaży firanek, które na lewo wynosił z zakładu. Pyrkocącym trabantem wszystkie kraje ludowe zwiedził. Nie sam oczywiście. Cała rodzina wiedziała, że wujek Sławek ma kochankę. Nie wszystko w małżeństwie układa-

ło się różowo. Nie mogli mieć dzieci. Wujek doszedł do wniosku, że na wszelki wypadek sprawdzi na boku, czy to nie przypadkiem on był felerny, i okazało się, że, owszem, był. Nie rozstał się po tym romansie z kochanką. Za dnia wiodł życie przykładowego męża, a wieczorami i w czasie wakacji hołubił konkubinę. A ponieważ nie mogli mieć dzieci, dostali od losu prezent — mnie na wychowanie.

Ciotki stwierdziły, że skoro nie chce mi się uczyć, szybko pójdę do pracy, a o tę nie było trudno w Łodzi. Przecież to był największy w świecie moloch socjalistyczny. Tak mi się przynajmniej wydawało, kiedy wyrząłem przez okno. Nic innego po horyzont, tylko bloki. Jeden wielki hip-hop. Nikt poważny nie nazwałby klatki, w której miałem zamieszkać pokojem. Niecałe sześć metrów kwadratowych. Ciotka traktowała wcześniej to pomieszczenie jako dodatkowe i zawałiła całkowicie gratami. Wiele osób na moim miejscu odczułoby dumę ze społecznego awansu. Uciekłem ze wsi. O takie szczęście inni modlili się w kościele. Na dodatek byłem ustawiony. Mieszkanie w bloku, ogrzewanie centralne i łazienka z ciepłą wodą, a nie kibel gdzieś za rogiem. Wszystko kiedyś przejdzie w moje ręce. Start w dorosłość też zapewniony. Wujek bez problemu mógł załatwić pracę w fabryce. Miał niezłe plecy. Nie on jeden wynosił franki. Ciotka to w ogóle legenda. Przędowniczka pracy odznaczona nagrodą państwową. Dlatego też dostali mieszkanie poza kolejką, bo razem z koleżanką wyrabiała po 300 procent normy. Inaczej gnieździłoby się w hotelu robotniczym.

Potem zapisali mnie do szkoły. Nosiła imię Stanisława Staszica i szacowny numer 118. Nic mi to nie mówiło. Tam, gdzie do tej pory się uczyłem, była tylko jedna szkoła, a wcześniej jedno przedszkole. Ciotka długo rozmawiała z paniami w sekretaria-

cie, a potem wypić kawę z dyrektorem. Dostałem skierowanie do psychologa. Pani doktor pokazywała różne cyfry schowane w kwiatkach. Najwidoczniej mieściłem się w normie. Od nowego, zimowego semestru miałem dołączyć do siódmej klasy. Na razie dopiero listopad, miałem zatem zostać w domu i aklimatyzować się. Zapoznawać z otoczeniem. Ciotka pracowała na trzy zmiany, podobnie wujek, toteż często zostawałem w domu sam.

Po jakimś czasie przestali dawać mi tabletki. I tak na koniec dostawałem tylko po jednej. Wtedy powróciły sny. Takie jak zawsze przedtem. Kolorowe i gęste. Mogłem spać do samego południa, jeżeli akurat nikogo nie było w domu. Wstawałem rano, jadłem śniadanie i potem szybko z powrotem do łóżka. Próbowaliśmy tak na dobre się nie obudzić. Właśnie wtedy zaczął mnie przesładować koszmar senny. Śniłem, że ktoś mnie goni. Prawie co noc budziłem się tak zlany potem, że wieszałem mokrą piżamę na kaloryferze, a zakładałem suchą. Najgorszy moment we śnie był wtedy, kiedy zaczynałem uciekać. Zazwyczaj przed tym miała miejsce zajawka. Szedłem albo coś robiłem i nagle pojawiał się paniczny strach i świadomość, że muszę uciekać. Trwało to kilka tygodni, aż w jednym ze snów objawiło się źródło strachu. To ta pojebana świnia! Dziobek! Goniła mnie. Chciała chwycić. Jednej nocy jej się udało. Powaliła mnie na ziemię i zaczęła gryźć. Pojawił się element zaskoczenia, bo jej kąsanie nie sprawiało bólu, lecz wcześniej nieznaną przyjemność. Nie wiedziałem zupełnie jak sobie z tym poradzić. Dziobek wracała co noc i nieustannie gnębiła. Wykorzystywała. Kolejnej nocy stało się coś, czego już zupełnie nie potrafiłem wytłumaczyć. Prosiak znowu rzucił się na mnie. Ugryzł w siusiaka. To wywołało konwulsje. Obudziłem się zlany potem i nie tylko. Miałem pierwszą w życiu tajemnicę, o której nie mogłem nikomu powiedzieć. Dalej leżałem w łóżku



do południa, ale teraz nie przestawałem bawić się fifolkami. Robił się twardy, ośliniony i mogło tak trwać godzinami. Zaczęło mi to sprawiać radość, nie taką jednak, jak się dostaje prezent, ale obezwładniającą przyjemność w środku. Coś niemożliwego do opowiedzenia. I pewnego dnia podczas zabawy nastąpił taki sam wytrysk, jak czasami w nocy. Przypomniały mi się chamskie dowcipy opowiadane przez dorosłych, lekcje biologii i wizyty in-seminatora. Odkryłem masturbację.

W lutym zacząłem wreszcie chodzić do szkoły. Siódma c — moja nowa klasa. Do dziennika przepisali stare oceny, dodali zeszyty, teczkę i podręczniki. Wszędzie śmierdziało potem, sikami i starym kurzem. Zupełnie jak w poprzedniej, choć dzieciaki inne. Klasa liczyła ze czterdzieści osób. Na niektórych lekcjach siedzieliśmy po trzech w jednej ławce. Pozycja uczniów ściśle zhierarchizowana. Stadem rządził o dwa lata starszy uczeń. Wszyscy mówili na niego Doberman. Takiego psa kupił i podobno karmił surowym mięsem. W to akurat niekoniecznie wierzyłem. Jeżeli ktoś pamięta tamte czasy, wie, że do sklepów rzucali czasem wszystko oprócz mięsa. Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Nie obawiałem się dostania po gębie. Uchodziłem raczej za dużego chłopca. Matka chwaliła się nauczycielkom, że lubię podjeść. Urośłem pewnie przez mięso, którego inni nie mogli kupić. Ojciec dwa razy w roku bił świnie, dokupywał wołowiny i robili z wujkiem rzeźnikiem kielbasę. Na obiad w domu była zawsze zupa i drugie danie. Kiedy moje i Dobermana spojrzenia się spotkały, patrzyliśmy na siebie jak równy z równym. Byliśmy tego samego wzrostu.

Nie chce mi się nawet wspominać, jak wyglądała nauka w szkole. Zaprojektowano ją na ośmiuset uczniów, a teraz upchnęła tysiąc dwieście. Wszędzie niemiłosierny ścisk. W szatni, w klasie, na korytarzu, deptanie i nieustanne popychanki. Pod moim adresem

często leciały wieśniackie uwagi. Miałem to głęboko w dupie. Ciągłe tkwiłem w letargu. Śpiączka nie przemijała. Wstawałem rano, szkoła, lekcje, telewizor i do łóżka. Nic się nie działo. Ciotka zapisała mnie na obiady w szkolnej stołówce. Sama jadła w zakładzie pracy, podobnie wujek. Wszystko poukładane. Totalna stabilizacja.

Na wiosnę w środku zaczął mi walić młot. Musiałem wyjść, zostawić to mieszkanie. Wyc mi się chciało. Pachniało mokrą ziemią. Wilgoć nęciła w powietrzu. Nigdy w życiu nie oddychałem tak łatwo, ale tylko poza domem. Wychodziłem popołudniami poszwendać się po osiedlu. Nie uwierzycie, kogo spotkałem. Doberman wyprowadzał psa na spacer. Naprawdę musiał go karmić surowym mięsem, bo sierść odbijała światło ulicznych latarni. Nasze spojrzenia znowu się skrzyżowały. Wiedziałem, że muszę zaatakować pierwszy, a on najspokojniej podszedł do mnie i spytał, czy chcę się napić wina. Nie zauważyłem nawet, że niósł z tyłu plecak. Zatkąło mnie. Bez słowa poszedłem. Obok naszego osiedla budowali inne osiedle. Pełno betonowych płyt. Za jedną ze stert schowaliśmy się i Doberman wyjął butelkę z plecaka. Tanie wino z plastikowym korkiem. Jakoś otworzył, pociągnął łyk i podał mi, twierdząc, że po tym mi ulży. O to właśnie chodziło, że nie potrafiłem sobie odpuścić, a tanie wino przyniosło ukojenie.

Doberman miał oboje rodziców, ale i tak jakby ich nie było. Ojciec od lat zarabiał na zagranicznych budowach. Skończył AGH w Krakowie i mógł liczyć na dewizowe kontrakty. Teraz na przykład wznosił tamę w Libii. Płacili mu w dolarach. Wyobrażacie to sobie! Facet zarabia mnóstwo kasy i wydaje ją w Polsce, gdzie za zieloniutkiego papierka można kupić każdą duszę. Matka miała na osiedlu warzywniak. Wstawała każdego dnia o piątej rano, przyjmowała dostawy i zostawała w sklepie do wieczora. Po powrocie

do domu potrafiła jedynie rzucić się do łóżka. Często zapominała nawet powiedzieć dobranoc. Dlatego Doberman kiblował z roku na rok. Nie miał go kto przypilnować. Spokojnie pomieszkiwał w domku jednorodzinny. Takie szeregowo wybudowano, zanim postawiono pierwsze bloki. Większość z nich zajmowali architekci i prawnicy odpowiedzialni za wznoszenie molocha. Tylko nielicznych było stać na wykupienie takiego cacka. Kosztowało majątek. Otoczone murowanym płotem, obsadzone choinkami, pełna kultura.

Na trochę miękkich nogach wróciłem do domu i w drzwiach wdepnąłem na wujka. Zerknął wymownie i skomentował, że zaczyna się szwendanie po osiedlu. To musi być rodzinne, bo jasne, że właśnie wrócił od swojej kochanki. Jeżeli zatem ktoś się kurwił i szwendał, to on. Jaki mogłem mieć szacunek do takiego facecika? Z rannej zmiany wracał około czwartej. Parkował trabanta pod blokiem, wchodził do mieszkania i pakował się na wersalkę. Drzemał tak dobre pół godziny, parzył herbatkę, jadł kanapkę i wychodził z domu. Jak angielski dżentelmen do klubu. Ciotka wracała po nim, bo musiała się tłuc autobusem, pytała retorycznie, dokąd poszedł, brała kilka tabletek i też pół godziny na wersalce. Potem gęba w telewizor. A tam naprawdę nie było czego oglądać. Sama ruska propaganda i wojenne dokumenty.

Doberman to miał życie. Wchodziłeś do domu — najpierw hol. Sam korytarz miał pewnie tyle samo metrów kwadratowych, co połowa naszego mieszkania. Potem salon. Najprawdziwszy, jak na amerykańskich filmach. Z sofami, stolikami na kawę i wielkim telewizorem. Do tego odtwarzacz wideo i pełno kaset. Fotele i kanapa tak miękkie, że aż zapytałem, gdzie kupili. Wszystko ręcznie wykonane przez fachowca. Inaczej sprężyna weszłaby w dupę. Podobnie z meblami i boazerią. Na to wszystko matka harowała

od rana do wieczora. Ojciec już dawno dał sobie spokój. Przysyłał regularnie kopertę. Wystarczało na rachunki i większość łąpówek. Żadna prywatna inicjatywa nie była dobrze przyjmowana przez system. W łąpę brał każdy, począwszy od dzielnicowego, na sprzętaczce kończąc. Żeby nie chodziła z pyskiem i nie opowiadała, co jest w domu, bo się włamią. Podobny komfort poprzednio oglądałem jedynie na teledysku. Doberman kupił psa tylko dlatego, że innych nie było na takiego stać. Tak naprawdę go nie lubił. Na osiedlu robił wrażenie. Na dodatek nazwał go Bubel. Wybrakowany model. W fabryce zapomnieli mózg wzbogacić olejem. Zapłacił sto dolarów, bo nie opłacało się targować.

Wiele rzeczy robił, żeby zrobić wrażenie na otoczeniu. Szliśmy ulicą, a on zaczynał się zataczać. Mamrotał i udawał pijanego. Bardzo dobrze mu to wychodziło. Potykał się o własne nogi. Wieszał na moim ramieniu. Na dodatek ciągnął z tyłu ogłupiałego psa. Wyglądało, jakbym holował do domu starszego brata. Największą radość sprawiało słuchanie komentarzy przechodzących obok ludzi. Że taki młody i już pije, że trzeba milicję zawołać i inne głupoty. Z radości świeciły mu się oczy, jakby naprawdę trochę łyknął. Potem szu — do bramy i po kilku chwilach wyskakiwał z niej Doberman Szlachetny. Podchodził do staruszki na pasach i najgrzeczniejszą polszczyzną pytał, czy nie przeszkadza, absolutnie nie ma zamiaru się narzucać, ale w szkole odwołano ostatnie dwie lekcje z powodu choroby nauczycielki — biedna pani od polskiego podobno złapała grypcę. Ma nadzieję, że nie przyplączą się komplikacje. Pani dźwiga strasznie ciężką torbę, nietaktem byłoby zatem nie zaoferować pomocy. Nie stanowi to najmniejszego problemu. Nie przewidywał, że może skończyć wcześniej w szkole i nawet nie ma kluczy, a mama będzie za dwie godziny. I tak szli sobie ze starszą panią, gawędząc, że właśnie przeprowadził się z Warszawy,

że ogólnie w tym mieście brak kultury, ojciec w służbach dyplomatycznych, a matka wykłada historię sztuki na uniwersytecie. Robił to wyłącznie dla zabawy. Miał tyle pogardy dla świata. Wszyscy ludzie to śmieci, które wreszcie ktoś powinien sprzątnąć.

Spędzaliśmy razem wiele czasu. Nie tylko przesiadując w domu. Wychowany na wsi odkrywałem, że miasto ma swoją strukturę. Centrum, osiedla i przedmieście. No i zupełnie zakazane tereny, do których nawet z ostrym psem nie powinien się zapuszczać. Fabryki tworzyły niezależne dzielnice. Niektóre bramy wejściowe zaraz przy Piotrkowskiej, a załadunek, transport i tory gdzieś pod Zgierzem. Setki tysięcy ludzi zatrudnionych w każdej. Pracowali w niewolniczych warunkach i za psie pieniądze. Młodzi ludzie w Łodzi mieli specyficzną zabawę. Ponieważ warunki pracy urągały wszelkim normom, więc ciągle zdarzały się wypadki. A to komuś urwało rękę, a to nogę. Codziennie pod wieczór licytacja. Kto widział więcej kalek. Jeżeli spotkałeś „korpus” — bez rąk i nóg, mogłeś pociągnąć z butelki poza kolejką. Niczego do picia oprócz wina nie było. Na rynku królował dolar. Żółtówki miały wartość towarów wyłożonych w sklepach. Żadną, bo w sklepach brakowało wszystkiego. Nieustanne montowanie, kombinowanie, załatwianie i łapówki. Najlepiej w zielonych. Dookoła odpadały gruzy nieremontowanych od dziesięcioleci kamienic. Szary pył pokrywał każdą, nawet najciekawszą elewację. Tak też wyglądały stare, fabrykanckie wille i pałace. Szare, ale jedyne w swoim rodzaju.

Odkryliśmy cmentarz żydowski. Zerkamy przez płot. Nic poza kamiennymi płytami. Kamiennie tablice aż po horyzont. No prawie, bo po drugiej stronie ogrodzenie. Szwendaliśmy się tak ze trzy kwadransy, kiedy podszedł starszy facet i przedstawił się jako reprezentant łódzkiej gminy żydowskiej. Sprawuje opiekę nad cmentarzem, bo wielu chuliganów przychodzi tutaj ćwiczyć karate.

Nic podobno tak się do tego nie nadaje jak żydowskie nagrobki. Zaczęliśmy wyjaśniać, ale sam stwierdził, że obserwował nas przez jakiś czas i wie, że tylko oglądamy. Istnieje jeden ważny szczegół. Dla Żydów obowiązkiem jest uszanować miejsce pochówku nakryciem głowy. O to właśnie chciał nas prosić. Miał po drugiej stronie pakamerę, a w niej kilka zapasowych beretów dla takich intruzów jak my. Strasznie dziwne. Od dziecka miałem wpojone, że wchodząc na cmentarz lub do kościoła, zdejmujesz czapkę, a tu odwrotnie. Facet długo opowiadał o dawnej mniejszości żydowskiej w Łodzi. Opisywany świat był różnokolorowy, a teraz wszystko pokryte szarym pyłem, którego chyba już nic nie zmyje.

Piękna wiosna. Za nic w świecie nie chciałem spędzać dnia w smrodzie sików. Lepiej iść na miasto. W końcu sekretariat wysłał zawiadomienie do wujostwa. Po co mnie wzięli do siebie! Nawet raz w tygodniu nie potrafili porozmawiać o czymś innym niż szkoła, praca albo telewizor. Pierdoły. Jak tylko dostarczono wezwanie, najpierw miałem awanturę, a potem wuj zaczął uświadamiać ciotkę. Wszystko słyszałem. Wewnętrzne ściany w blokach służyły raczej za parawan. To jej pomysł, żeby mnie tu przywieźć. Zapadła cisza. Byłem dzieckiem rodzonej siostry. Co innego mogła zrobić? Musiała. Choćby tylko dla niej. I zaraz się rozryczała. Więc tak mnie wszyscy kochali. Akt miłosierdzia. Bardzo mi przykro.

Rano natknąłem się na ciotkę w kuchni. Słyszałem wczorajszą rozmowę, chcę przeprosić za dotychczasowe zachowanie i podziękować, że wzięła mnie pod opiekę. Nie myślałem poważnie. Falszywy akt skruchy, ale odniósł skutek. Ciotka przez moment chciała mnie przytulić, zawahała się i wróciła do parzenia herbaty. Całe wystąpienie to efekt wygłupów Dobermana. Tyle się nauczyłem, że nie należy okazywać ludziom prawdziwych uczuć. Ciotka specjalnie wzięła dzień wolny na wizytę w szkole. Poszliśmy razem.

Niedostateczne oceny z dwóch przedmiotów i groźba usunięcia ze szkoły za wysoką absencję. Tym się najmniej przejmowałem. Nauka na poziomie podstawowym obowiązkowa. Jeżeli już wywaliliby mnie z tej budy, natychmiast musieli zapisać do innej. Obiecałem, że do wakacji poprawię stopnie i zacznę chodzić na lekcje, ale chcę, żeby w zamian kupili mi walkmana. Zabieg strategiczny. Przynajmniej zapewnię sobie jakiś zysk. Właśnie wtedy pojawiły się w sklepach elektronicznych pierwsze polskie walkmany. Nazwali je Kajtek. Straszny szajs. Psuły się po dwóch tygodniach, ale nic innego system nie oferował. Znikały z półek tylko po to, żeby natychmiast wrócić na inną półkę do naprawy. Dostrzegłem, że świat dookoła jest jakoś zorganizowany. Chodziłem po ulicach ze słuchawkami i przeżywałem Kraftwerk. Muzyka urywała głowę. Pod koniec roku na świadectwie średnia ocen wynosiła 3,5, sprawowanie dostateczne, a wakacje na wsi. Zapakowałem kilka kaset, koszulki, spodnie i sam poszedłem na pociąg.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).